Wrzesień 1967

Wrzesień 1967

I jakim prawem mieliśmy w sobie aż tyle
nieprzezorności, aby w bezsennym przedziale
spędzić noc, wysiąść, drżąc z zimna, i znaleźć
między dnem szarych chmur a warstwą rudych szpilek
śliski od mżawki, pusty po sezonie camping –
garść słupów do siatkówki i sklejkowych ruder,
zza których grzmiało morze; aby w przemokniętym
domku z dykty nie zwlekać już ani przez chwilę
dłużej i paść w ubraniach na nagi materac
i, niezdarnie zdzierając je z siebie, docierać
do nas, odnalezionych Bóg wie jakim cudem

i jakim trafem; aby nic wtedy nie przeczuć,
chichotać z układanych wspólnie – senną głową
przy ciepłej piersi – głupstw: „Morze miarowo
szumi, Bo niemiarowo nie umi”, pod wieczór
czuć nadal w ciele słony, dziki, jednostajny
rytm fal, które zbijały z nóg spienionym światłem
zmieszanym z piaskiem, żwirem i wodorostami,
i ten rytm naśladować w śpieszniejszym narzeczu
dwojga ciał; aby wargi, błądzące powoli
plażą skóry, trafiały na kryształki soli
z morza? z potu? nie wiedząc jeszcze, jakim wiatrem

i jakim trwaniem będą zdmuchnięte, spłukane;
aby języki dwa bez skutku, ale czule
chciały się spleść, przytrzymać nawzajem, nie ulec
sygnałowi z latarni morskiej, gdy nad ranem
buczał przez mgłę, na znak, że wszystko ma swój brzeg,
i gdy do wnętrza domku przez koślawą ramę
okna sączył się z anten, kominów i drzew
świt ze swoim natrętnie milczącym pytaniem,
jakim właściwie cudem, jakim trafem, jakim
prawem wszystko ma odtąd pozostać tym samym
morzem, tym samym snem, tym samym słonym smakiem.

wiersz z tomu *Widokówka z tego świata*
cyt. za: Stanisław Barańczak, *Wiersze zebrane*, Wydawnictwo a5, Kraków 2006, s. 356-357